



Gra świerszczy

Skalnemu Kwiatu - za miłość naszą wspólną do Bruce'a Lee. Strzydze - za zainspirowanie. I Mistrzowi - który na pewno wybaczy mi te żarty niestosowne...

Skalnemu Kwiatu - za miłość naszą wspólną do Bruce'a Lee. Strzydze - za zainspirowanie. I Mistrzowi - który na pewno wybaczy mi te żarty niestosowne...



Gra świerszczy

Kiedy gwiazdor filmowy, niepokonany mistrz sztuk walki Brus Lej zmarł nagle, tragicznie i cokolwiek dziwnie – szok i lament zapanował w cały Ko-Kongu. Zdruzgotani wielbiciele demonstrowali na wszystkich głównych placach i ulicach metropolii. Wywracano autobusy i riksze, palono sklepy i lunaparki. W powietrze wysadzono hotel, w którym Brus Lej zasnął, i szpital, w którym orzeczono śmierć aktora.

Miliony wzburzonych Ko-kończyków nie miało wątpliwości: spisek, zdrada i egzekucja.

Niepokonany wojownik Lej nie mógł umrzeć tak po prostu.

Był mistrzem dwunastu tajnych stylów kung-fu, które odtajniono dopiero pięć godzin po wywróceniu pierwszej rikszy. Między innymi stylu Ocelota, Kuglarza, Archeopteryksa, Metalicznozielonego Kuguara i Osobno Zapakowanej Pięści.

Władał kilkoma rodzajami broni naraz: wywijając halabardą jedną ręką, a łańcuchem zwieńczonym kulą drugą, potrafił jednocześnie ciskać strzałki mosiężne, zarzucać arkan oraz odpierać ataki przeważających opryszków zatkniętą między stopami sarissą macedońską. Kiedy biegł, to tylko za ambulansem spieszącym do wypadku. I zawsze tyłem.

Często przy tym rozdawał autografy lub łamiące szczęki kopnięcia boczne – w zależności od rodzaju zaczepki.

Był niezmordowany, a jego ciosy nie do odparcia; by uzyskać ich niezrównaną prędkość, godzinami boksował zanurzony w basenie zalanym olejem. Tam też nocował, by z „gimnazjonem się nie rozstawać”.

Jako jedyny człowiek na świecie potrafił zrobić 1600 pompek na podbródku.

I taki Mistrz miałby umrzeć? W ten sposób?!

Podczas rautu filmowców w hotelu, Brus Lej, podczas sięgania po pieprzniczkę, nagle kichnął. Potężnie.

Był znany z tego, że wszystko czynił potężnie, bardzo energetycznie i z zaangażowaniem. Kiedy więc kichnął, natychmiast odpadły mu nogi i ręce. Oderwana głowa uderzyła jeszcze w szefa kuchni, czyniąc mu rzetelną namiastkę lobotomii.

Właściciel hotelu upierał się, że to zasłabnięcie, że aktor miał ciężki dzień, i żeby odnieść go do łóżka.

Nikogo nie przekonał. Hotel wysadzono, przy czym prośba właściciela, by pozwolono mu opuścić budynek, została surowo odrzucona.

W szpitalu orzeczono zgon. Demonstranci dopadli połowę personelu. Resztę zdołano ewakuować helikopterami policji i wojska.

Tylko dwa strącono.

Ko-Kong kipiał.

Ale przecież nie było wątpliwości, że emocje opadną, a ofiary, które przetrwają oskarżenia i ciągi, doczekają się przeprosin i pojednawczych objęć. Życie potoczy się dalej, a legenda Brusa Leja pozostanie nieśmiertelną.

Doskonale zdawano sobie z tego sprawę w ekipie filmowej, zaangażowanej w produkcję *Gry śmierci*. Po całym dniu minorowych nastrojów i prób samobójczych, dziesiątkujących ekipę, reżyser Rajmund Chow-chow ogłosił, że film musi zostać ukończony - choćby z szacunku dla Mistrza - i że należy natychmiast znaleźć zastępcę.

- Tylko tytuł trzeba zmienić – uznał. - Teraz *Gra śmierci* nie będzie brzmieć zbyt dobrze... Tylko musi to być coś podobnego w wymowie, bo szkoda tych nakładów na reklamę.

- To może... *Gra świerszczy?* - zaproponował bez namysłu scenarzysta Wlej Mu.

- *Gra świerszczy?*... Znakomite!! O wiele lepiej pasuje. Bierzemy.

W ciągu tygodnia przybyło ponad 5000 ludzi, którzy zapewniali, że dorównują urodą i sprawnością zmarłemu od kichnięcia gwiazdorowi. Pośród nich było kilka kobiet, tuzin Murzynów i starzec, który zmarł z wysiłku podczas otwierania klamki do sali przesłuchań. Jakiś dowcipniś – a może zrozpaczony wielbiciel Mistrza - wpuścił też przebranego w żółty dres pawiana, który okazał się zresztą najlepszym kandydatem. Wydawał dźwięki jak sam Lej i kiedy już chciano zrobić go w skandalicznie tani kontrakt, nagle rzucił się na scenarzystę Wlej Mu. Nim zdołano go powstrzymać – przegryzł filmowcowi tętnicę udową i obydwaj sięgnęli Achillesa. I tak produkcja straciła i następcę, i scenarzystę.

Tydzień po małym incydencie wróciła nadzieja. Do studia przyszedł młody człowiek o obiecującym wyglądem i witalności. Przypominał Brusa Leja z urody, a nawet z ruchów ciała. Może nie był tak atletyczny jak czterdziestokilogramowy Lej, ale deklarował siłę i wytrzymałość, a poza tym „potrafił już zrobić dwanaście pompek na podbródku”.

- Kocham Brusa Leja – zapewniał z entuzjazmem. - Naśladuję go od lat.

- Bardzo dobrze – pochwalił reżyser. - A jak się pan nazywa?

- Hyi-iy-yi.

Rajmund Chow-chow skrzywił się.

- Niezbyt filmowe nazwisko.

- Mi się podoba – odrzekł z głupia frant Hyi-iy-yi.

- Nie, nie, to musi być coś, co kojarzy się z Brussem Lejem. Rozumie pan. Przecież będzie pan nowym Brussem Lejem.

- Będę Brussem Lejem – rozmarzył się Hyi-iy-yi.

- Może Brus Leń – zaproponował asystent reżysera.

- Bardzo dobrze! - zapalił się Rajmund Chow-chow. - Brzmi doskonale. Brus Leń, Brus Leń...

- Brus Leń, Brus Leń, Brus Leń – bełkotał kandydat w upojeniu.

- ALE – reżyser przeszył go nagle nieco surowszym wzrokiem i euforia przygasła – będziemy musieli najpierw sprawdzić pańskie umiejętności... Rozumie pan.

- To oczywiście – uśmiechnął się Hyi-iy-yi. - Jestem gotowy. Trenowałem przez ostatnie pół roku codziennie po trzy godziny. Potrafię zrobić szpagat kapadocki na dwóch krzesłach.

- Szpagat kapadocki? - zdziwili się filmowcy. - Na krzesłach?

- Na dwóch. Albo zresztą na trzech mogę spróbować...

- Skoro pan chce koniecznie – reżyser wymienił zaintrygowane spojrzenia ze swoją ekipą.

Wniesiono dodatkowe krzesła, po czym kandydat na Brusa Lenia ustawił je blisko siebie i zaczął kłaść na nich nogi.

- Najpierw spróbuję na dwóch – bąknął.

- Dobrze – reżyser podniósł filiżankę herbaty do ust.

Po czym upuścił ją, a gorący napój wlał mu się w rozpiętą koszulę. Oto bowiem rozległ się głośny, nieprzyjemny chrupot, a Hyi-iy-yi z jękiem bólu zwałił się między krzesła.

Wyglądał na nieco rozdartego.

- W porządku? - zmarszczył brwi Rajmund Chow-chow.

- Oczywiście – wybełkotał Brus Leń. - Trochę nie wyszło. Ostatnio raczej kopałem w worek. Rozciągałem się w zeszłym roku... A może dwa lata temu. To może na trzech krzesłach spróbuję?

- Nie trzeba – reżyser wzdrygnął się, a dwóch asystentów zakryło odruchowo twarze. - Może jednak pokazałby pan... - Chow-chow nie skończył, bo Leń, mimo bólu, zerwał się nagle z podłogi i z przejmującym krzykiem-kwikiem uderzył kantem dłoni w krzesło.

Identyczny wrzask wydał z siebie pawian w żółtym dresie, ale on nie złamał sobie ręki w nadgarstku. Na odgłos kolejnego chrupotu jeden z asystentów osunął się zemdłony pod stół. Reżyser uniósł się i ze zgrozą wpatrzył w otwarte złamanie.

Sam Brus Leń zadziwił hartem. Biały jak papier, z oczami wypchniętymi niczym jo-jo, świdrował dziwnym wzrokiem swój nadgarstek.

- Musiałem uderzyć pod złym kątem – wybełkotał. - Albo krzesło było śliskie. Powtórzę.

- Nie! - krzyknął reżyser przestraszony.

- Ale ja dobrze walczę – upierał się Leń. - Ja to muszę udowodnić. Ja chcę dostać tę rolę!

- Lecz przecież... - zaczął Rajmund Chow-chow. I znów mu przerwano.

Brus Leń, który miał już szaleństwo w oczach, obrócił się bowiem do szafy i zadał jej serię kopnięć, które imponowały prędkością, a nawet włożoną siłą.

Trochę mniej imponowały kawałki drewna powbijane w połamane piszczele Lenia.

- O, Boże – wyjąkał asystent, który wcześniej omdlał, a teraz otworzył oczy na kolejny straszny widok.

Połamany, podarty, właściwie całkiem zbrukany Brus Leń ni to leżał, ni zwiisał ze zdewastowanej szafy, gulgotząc jak indor unoszony pod nóż.

Reżyser patrzył na niego oniemiały. W pokoju przesłuchań panowała cisza.

Wreszcie – niewiarygodnym, raczej pozaziemskiej miary wysiłkiem – Brus Leń zebrał się w stłuczonych mięśniach, zerwanych ścięgnach i połamanych kościach, wypełzł z szafy i powstał, by wesprzeć się o nią i objąć filmowców wzrokiem szaleńca.

- Ja sobie poradzę – zaskrzeczał żałośnie. - Ja tylko mam zły dzień... To przez te hałasy z ulicy...

W istocie, z zewnątrz dochodził narastający tumult. Ekipa filmowa nie była tego jeszcze świadoma, lecz do studia ciągnęła kolumna rozwścieczonych, ciężkozbrojnych Ko-kończyków. Ktoś rozpuścił plotkę, że Mistrza Leja na planie filmowym otruto mazutem, pchnięto kopią turniejową i ostrzelano z moździerza wycelowanego z Hokkaido.

- Ale zobaczcie to - wymamrotał Brus Leń. - Patrzcie teraz, to moja specjalność...

Nikt nie miał siły, by zaprotestować; widowisko było nazbyt unikalne i oszołamiające. Kandydat zdołał więc zrobić to, co zamierzał: salto w tył.

A raczej: podjął próbę owego salta. Bo gracia kalmara porąbanego czekanami musiała skończyć się tylko jednym. Wgnieceniem twarzy w deski podłogowe.

Tym razem chrupot odjął przytomność połowie ekipy. Reszta patrzyła na okaleczony cielec wojownika ze zgrozą, która nie została by zmarnowana przez japońskich mistrzów horroru

klątwy.

W każdym razie Brus Leń żył jeszcze. Ni to rżąc, ni wyjąc jak ten kojot pogryziony przez warany, uniósł twarz, której żuchwa zdawała się głosić hasła secesji.

Tuż po nosie i zębach.

- Nie nadaję się chyba, prawda? – zagulgotał.

Reżyser uśmiechnął się zdziwiony.

- A kto twierdzi, że nie? - spytał. - Proszę tylko przestać nam tu wierzgać w popisach ulicznika, O KTÓRE NIKT PANA NIE PROSIŁ, i odegrać wreszcie swoją półminutową sekwencję.

- Półminutową...??

Rajmund Chow-chow wzruszył ramionami.

- Rola Brusa Leja tyle właśnie miała trwać. Był dla nas zbyt drogi. Więc jeśli chce pan go zastąpić w filmie, to proszę teraz zrobić, co mówię. Niech pan pochyli twarz. Nisko... O, tak, do podłogi. Bardzo dobrze, tak. I proszę spojrzeć między deski i udawać, że pan go widzi... Widzi go pan?

Schylony nad podłogą wrak Brusa Lenia Hyi-iy-yi wbił w szparę między deskami wzrok, bezpowrotnie tracący zdolność pojmowania i przekazu.

- Ale kogo? - wybełkotał.

- ...a teraz proszę w końcu wypowiedzieć tę swoją kwestię: *Świerszczu. Jak ty pięknie grasz.*